

Władysław Malec - Malcewski

© ARCHIWUM Wschodnie

Mam opowiadać o sobie. Nazywam się Władysław Malec-Malcewski. W tej chwili jestem na emeryturze. Moją specjalnością, moim zawodem (zresztą wymarżonym zawodem wynikającym z mojej pasji) był zawód artysty - solisty śpiewaka operowego.

Opowieść moją rozpocznę od 39 r. od najbardziej tragicznego momentu, który przekreślił wielkie nadzieje naszego narodu dźwigającego się po I wojnie z ruin, narodu, który już wiele gospodarczo osiągnął, narodu, którego państwowość była określona. I raptem wybucha wojna. Wybucha wojna, która przekreśla wszelkie nasze nadzieje. Wybucha wojna, której konsekwencją jest dzisiejszy nasz byt.

W 39 r. miałem 23 lata. Jako kapral podchorąży rezerwy brałem udział w kampanii wrześniowej, szczególnie zaś w jej końcowym etapie jako "kleberczyk". Wróciłem po kapitulacji i po ucieczce z niewoli niemieckiej (udało mi się uciec i zmylić pogonię) dostałem się do mego rodzinnego miasta, do Lwowa i rozpocząłem życie takie jakie było możliwe.

Ponieważ przez całą moją młodość od dzieciństwa miałem aspiracje artystyczne więc zostałem zapisany do konserwatorium muzycznego. Jeszcze mój brat, nieżyjący w tej chwili, wierzył że ja wrócę z wojny, zapisał mnie i rozpoczęły się moje studia muzyczno-wokalne. Niestety te studia były przerywane, bo już w 40 r. w związku z wywiezieniem mojej narzeczonej na zsyłkę do Związku Radzieckiego wyjechałem razem z nią dobrowolnie. Jakoś się tak złożyło w czasie tego okresu wojennego, że często uciekałem. Uciekłem z niewoli niemieckiej i udało mi się uciec z Kazachstanu, dokąd zostaliśmy wywiezieni. Po 2 miesiącach zdecydowaliśmy się wracać z powrotem do Lwowa, żeby pomóc reszcie rodziny mojej narzeczonej, która tam pozostała. Wiadoma rzecz, że nie wszyscy mogli się zdecydować na taką eskapadę,

na taką szaleńczą myśl, żeby przebyć 250 km od miejsca gdzie pracowaliśmy w stepie, do stacji kolejowej. Na szczęście nam się udało przy pomocy ciężarowego samochodu, który akurat w tym kierunku wyruszał i tak jakoś po rozmaitych perypetiach, rozmaitych przeszkodach i przygodach udało nam się dostać do Lwowa. Nie będę opowiadał całego tego zdarzenia, całej tej historii związanej z naszym powrotem. To trwało około 2 tygodni, etapami, a trudno było bez dokumentów wrócić do kraju, nawet zostaliśmy zatrzymani na granicy. Na szczęście umówiliśmy się, jak mamy zeznawać w razie wpadki. Wróciliśmy do Kijowa. Tam, ku naszej radości, usłyszeliśmy na ul. Kręszczat^ok koło hotelu Ukraina polski język. To byli Polacy, młodzi ludzie - chłopcy i dziewczęta, którzy przyjechali na zawody pływackie. Miałem pośród nich znajomych. Wyjawiłem im nasz plan, a ściślej mówiąc nasz zamiar przedostania się razem z nimi do kraju, do Lwowa. Obiecali pomoc. Przeczekali^ośmy ten tydzień dopóki się nie skończyły zawody i chronieni przez nich, ukrywani w trakcie jazdy w pociągu, przejechaliśmy granicę, wróciliśmy do naszego rodzinnego miasta. To była już moja druga ucieczka, bo pierwszą była ucieczka z niewoli niemieckiej. Wróciłem z powrotem na studia, ale zły los czy^ohał.

Na skutek donosu pomocy domowej, która znała mnie jeszcze od czasów studenckich przed wojną, zostałem aresztowany za broń i otrzymałem wyrok^o, 3 lata obozu.

Zostałem^o sędownie^o skazany i wywieziony do obozu na Ukrainie koło Żytomierza. Tam budowaliśmy lotnisko. Mieszkaliśmy w mokrych ziemiankach, gdzie woda stała często. To był okres deszczowy - wiosna, początek lata. Praca była mordercza, bo żądano od nas jak najszybciej wybudowania lotniska. Bolszewicy jak gdyby czując zbliżającą się wojnę chcieli jak najszyb-

ciej wybudować lotnisko. Pracowali mężczyźni i kobiety jednakowo, znaczy ci z krótkimi wyrokami. Nie byliśmy politycznymi, nazywano nas "bętowiki" tzn. pospolici przestępcy. Aż przyszedł 22 czerwca. Bombardowanie, samoloty. Jakoś naszego lotniska nie zbombardowano całkowicie. Niemcy się zaczęli zbliżać. Władze otrzymały rozkaz ewakuowania więźniów. Szliśmy dniem i nocą, szczególnie nocą w kierunku Kijowa, głodni, wyczerpani. Tu i ówdzie paliły się samochody, bombardowane wsie. Aż wreszcie ... Wiem, że trzeba liczyć na siebie. Dokąd nas prowadzą - nie wiadomo. Nie wierzyliśmy im. Zdecydowałem się z kolegą w pewnym momencie i widząc, że transport tych moich współtowarzyszy rozciągnięty jest, a ochrona dosyć daleko w tyle - uciekliśmy w wysoką pszenicę i tak przeczekaliśmy do rana. Rano, gdy jeden z nas wlaźł na wysokie drzewo, które tam akurat rosło gdzieśmy się zatrzymali, dojrzeliliśmy, że w dole we wsi kręci się masa ludzi. To byli nasi towarzysze niedoli i jak się dowiedzieliśmy potem, straż pozostawiła ich tam, sama wsiadła na co kto mógł, podwoły czy samochody i uciekła do Kijowa. A reszta pozostała bez dokumentów tam na miejscu. Więc i my po 2-dniowym pobycie w tej wiosce zdecydowaliśmy się wyruszyć z powrotem do Lwowa. Front nadciągał. Doszliśmy do zniszczonego Berdyczowa, przeszliśmy obok więzienia, które uciekający bolszewicy spalili z więźniami. Opowiadali nam o tym strasznym, morderczym fakcie tamtejsi ludzie, a trzeba wiedzieć, że w tamtych okolicach jest bardzo dużo Polaków. I znowuż dzięki Opatrzności, dzięki szczęściu, bo niełatwo było przejść poprzez rozmaite kordony, gdzie Ukraińcy pilnowali swoich spraw, Ukraińcy już w służbie niemieckiej. Oczywiście podaliśmy się za Ukraińców i dostaliśmy się z powrotem do Lwowa. To był rok 41. Lwów był już zajęty przez Niem-

ców. Po drodze, ponieważ szliśmy główną drogą, jaką w przeciwnym kierunku, tzn. na wschód szła armia niemiecka, nie baliśmy się specjalnie, bośmy szli otwarcie (za radą jednego z Niemców, którego spotkaliśmy po drodze szliśmy właśnie tak), nie szukając bocznych dróg. I to była nasza wygrana, bo od czasu do czasu co najwyżej zapytano nas o dokumenty. Nasze worki, jakie mieliśmy przy sobie, worki na których były wypisane adresy obozów, w których znajdowaliśmy się. Każdy z nas zdołał dostać jakąś paczkę z domu, więc te worki świadczyły za nasze legitymacje. No więc tak dostaliśmy się (opowiadam to z pewnymi skrótami, bo trwałoby to zbyt długo) do Lwowa.

Rozpoczynam życie na nowo, już teraz pod niemieckim zaborem, pod niemiecką okupacją. Musiałem się i tu znaleźć. Oczywiście próbowałem w dalszym ciągu studiować, to do czego zmierzałem tzn. szkołę muzyczną. To mi się niestety nie udało, więc brałem lekcje prywatne, pracowałem jak się dało, by zarobić na rodzinę, na chleb i równocześnie jak każdy Polak zostałem członkiem organizacji, która nie ufała ^(bolshewikom) nawet po pokonaniu Niemców. Nie rokowała wielkich optymistycznych nadziei we współpracy z bolszewikami. Moja organizacja nazywała się Konwentem Organizacji Niepodległościowych w skrócie KON. Tak trwało do 44 r. do momentu opanowania Lwowa (nie mówię wyzwolenie, bo to nie było wyzwolenie) przez nadchodzącą armię bolszewicką.

Po ustanowieniu nowego porządku we Lwowie liczyłem na spełnienie swoich nadziei jeżeli chodzi o sprawy artystyczne. Z zaangażowałem się w teatrze. Ale znowuż zły los nie pozwolił żebym długo pracował. Czułem, że jestem inwigilowany, nawet uprzedzała mnie znajoma z administracji, że pytano o mnie. I rzeczywiście pewnego dnia wracając po próbie do domu zostałem zaczepiony przez 2 oficerów z ręką pod płaszczem, z zapytaniem

czy nie znam tam kogoś, kto w tym domu miał mieszkać. Nie pamiętam o jakie nazwisko chodziło. Powiedziałem, że nie znam nikogo, nie wiedziałem. Więc poprosili mnie, żebym poszedł z nimi, żebym złożył oświadczenie „odpowiednie”. Zaprowadzono mnie na ulicę Kadecką do tzw. kontrrozwietki tzn. do kontrwywiadu który się nazywał "śmierć szpionom" - tak należy to tłumaczyć. Wiedziałem, że to już koniec mojej wolności.

Znalazłem się w pokoju pod ziemią, gdzie było ok. 40 osób zarośniętych - widać dosyć długo tam przebywali, bez powietrza, bo całe to pomieszczenie było schronem przeciwlotniczym, bez okna, a pomieszczenie nie liczyło więcej jak 18 m². Przeróżne, przestrasz, beznadziejność ale w towarzystwie innych, których los miał się okazać podobnym jak mój. Jakoś krzepiliśmy się tym, że wojna się skończy i będziemy musieli być wypuszczeni. To był listopad. Do zakończenia wojny do maja trzeba było trochę poczekać. Nie zapomnę jednego wzruszającego momentu. ^{w kwietniu} Jeden z nas został przez strażnika wywołany dla wyniesienia czegoś tam, powiedzmy pojemnika do opróżnienia go. I ten nasz towarzysz przyniósł nam 2 gałązki jakiegoś krzewu - już nie pamiętam jakiego. Zielone, świeże, nawet zakwitłe trochę. Myśmy ze wzruszenia łzy ronili nad tym krzewem, nad tą gałązką pełną zieleni. Nie wiedzieliśmy jak wygląda słońce, jak wiosna w pełni poza nami na zewnątrz. Czekaliśmy co dalej będzie z nami, opowiadaliśmy sobie każde swoje historie, trochę śpiewaliśmy, nie za głośno, bo uspokajano nas - nie wolno było śpiewać. Tak to trwało już nie pomnę, ale gdzieś w okolicach lata zostałem przewieziony do innego więzienia na Zawł~~ę~~ tynów. Tam znów przejście, znowu inni ludzie, ludzie którzy siedzieli. Po pewnym czasie wręczono mi dokument - karteczkę, w której zostałem zawiadomiony, że wyrokiem sądu, który się

nazywał trojką, " zostałem skazany zaocznie na 10 lat przebywania w dalekich obozach. Bez żadnego wyroku. Byłem kilkakrotnie nocą wzywany na śledztwo. Wiedziałem, że mój towarzysz, tzn. mój kolega, z którym razem byłem w organizacji, który wcześniej został aresztowany znajduje się również w więzieniu, nie wiedziałem tylko gdzie - czy w tej samej służbie kontrwywiadu, czy też w NKWD. No faktem jest, że otrzymałem wyrok zaoczny. Do sądu nie zostałem doprowadzony, ponieważ nie podpisywałem tych dokumentów, które mi proponowano. Nie zgadzałem się z sugestią śledczego, pamiętam nawet nazwisko ^{Spiridaniuk} ~~Spyrdaniuk~~ - Ukraińiec, kapitan, nauczyciel, który w pewnym momencie w trakcie śledztwa powiedział "kac by ja ciebie dał w mordę" - ^{ja powiedziałem} "tak," ale musielibyście mi ręce związać." No, ale to nie jest istotne w tej chwili. Faktem jest, że po kilkumiesięcznym przebywaniu w więzieniu na Zamaśtynowie zostałem przewieziony na punkt przesyłkowy, na ~~Pełta~~ ^{Pełta}. Tam mieliśmy o tyle lepsze warunki, że byliśmy swobodniejsi, nie musieliśmy cały czas siedzieć w celach, a w tym wypadku w barakach po getcie. Chodziliśmy sobie, gdzie kto mógł do pracy. I tu miałem pecha. Wiedziałem, że nasi koledzy przygotowują się do ucieczki przez kanał. Miało to nastąpić za parę dni. Niestety na dzień przedtem zostałem przewieziony do innego miejsca. Ale już po 2 dniach wróciłem z powrotem, bo doszła do skutku ucieczka przez kanał. Uciekło nas wtedy 15 czy 16. I wszystkim się udało dostać na drugą stronę. Wszystkim się udało przejść do miasta kanałami, no i w dalszym ciągu, tzn. w konsekwencji udało im się przejść do Polski. Na co mogłem oczekiwać, chciałem jak najprędzej wyjechać, bo czekanie tam na miejscu było o tyle przykre, że wiedziałem, że nie ma żadnych szans. Niech się rozpocznie odsiadanie wyroku, niech się rozpocznie już to, na co zostałem skazany. Nie

liczyłem ani na amnestię, ani na żadną ulgę, chyba że dojdzie kiedyś może za rok, dwa, trzy, a może i więcej do porozumienia między rządem polskim, który został stworzony, a sowieckim i może na tej podstawie powrócimy do kraju. Niestety nasze nadzieje były płonne.

Parę razy przychodziła moja żona z synkiem. To było bardzo przykre, bo ja wiedziałem, że ona jest na wolności, a ja nie mogę do nich wrócić. Przynosiła mi gazetę czasami. To nie było zbyt łatwe, ale czasami jej się udawało. To były bardzo trudne dla mnie momenty tych spotkań i oglądania się przez druty. Po pewnym czasie został przygotowany transport i wreszcie wyjechaliśmy do obozu. To było mniej więcej w 46 roku latem. Najbardziej koszarne w życiu więźnia to są etapy, przygotowanie etapu, czekanie w stojącej pozycji, czekanie na wywołanie - dokąd z kim? Już tak jest urządzony człowiek, że lepiej się czuje w towarzystwie, że się przyzwyczajają do ludzi, zawiera znajomości, zawiera przyjaźnie. Nawet się planuje coś wspólnego. Tymczasem etapy przerywają wszelkie ludzkie więzi i pozostawiają człowieka jego samotnemu losowi. Na nikogo nie można liczyć. Nie wiadomo, co będzie dalej.

Aż wreszcie wyjechałem na etap. Jechaliśmy bardzo długo. W wagonach było około (oczywiście w bydłowych wagonach), w każdym wagonie było ok. 40 osób. Najlepsze miejsca, tzn. na pryczach zajmowali złodzieje, żuliki, ale jak się dowiedzieli, że ja "artist" starali mi się stworzyć jako takie warunki. Te przywileje z których korzystałem polegały na tym, że w miarę możliwości do stawałem ten łyk wody, czy chleb lub śledzia sprawiedliwie, nie okradany przez nich.

Nieznane. Nikt nie wiedział, jaka miejscowość, jaki łagier, jaki obóz jest celem naszej podróży. Niektórzy mówili, że je-

dziemy w kierunku na Krasnojarsk, a co dalej? Tu na marinesie przypomniał mi się sen, który miałem na ulicy Kadeckiej tzn. w kontrwywiadzie, gdzie siedziałem. Sniło mi się, że idę pod górę, idę po jakiejś pięknej zielonej łące i ta łąka jak gdyby nasze hale w Tatrach, i sięgam szczytu nieomalże. Tu się budzę. Po przebudzeniu opowiadam swój sen leżącemu nieopodal Cyganowi. Cygan stara mi się to wszystko wytłumaczyć. Powiada: będzie wszystko w porządku, mimo że siedzimy w więzieniu, wszystko się skończy dobrze, wrócisz do swoich, ale przejdiesz wiele. Więc przyjeżdżamy do Krasnojarska. Jak przed każdym wejściem do nowego obozu: formalności, czekanie, wyczytywanie wg aktów. Otrzymałem swój przydział, brygadę. Coś tam robiliśmy - nieważne zresztą co się robi, byle coś robić. Na samym początku szuka się przyjaciół, szuka się znajomych. Ze swoich okolic nie znalazłem już nikogo, ale Polaków jest wszędzie dużo. Był w punkcie pomocy lekarskiej lekarz, nazywał się chyba Kaprowicz - bardzo zacny pan, był jako sanitariusz, przemiły człowiek. Oczywiście, Polacy sobie bardzo pomagają w takich sytuacjach. Faktem jest, że w tym obozie przetrwałem rok. W tym roku jeszcze nie zostałem odtransportowany do miejsca, które było moim miejscem przeznaczenia, obozem ostatecznym. Przemęczyłem jesień i zimę, a to zwykle na takich punktach najtrudniejszy okres, bo i z jedzeniem gorzej i nie wiadomo, co dalej. Trzeba przetrwać, żeby się dostać do miejsca, gdzie rozpocznie się już normalne prace. Nie zapomnę, jak brakowało nam chleba. Ale mimo że brakowało nam chleba, marzyłem o tym, żeby się napić mleka, więc przez tydzień składałem po kromeczce chleba, żeby sobie kupić u wolnych, którzy też pracowali w obozie - litr mleka. Z jaką rozkoszą, z jaką radością i przyjemnością piłem to mleko - świeże, czyste, zdrowe mleko.

Niewiele pamiętam z tych czasów. To był jakiś okres przejściowy. Jedno było pewne, że Polacy, którzy byli więźniami politycznymi byli wywożeni jak najdalej. Według opowiadań tamtejszych pracowników tego obozu naszym celem miał być Norylsk.

Norylsk leży 2 tys. km na północ od Krasnojarska. Płynię się rzeką Jenisej barkami. To trwa ok. 5 do 6 dni. Potem pociągiem 100 km do przemysłowego miasta. I tam mieliśmy się znaleźć. Próbowałem nawiązać kontakt z rodziną. Niestety żadnej korespondencji nie otrzymywałem, nie dochodziła. No i tak pewnego pięknego dnia zarządzono etap. Wyruszyliśmy barkami w kierunku ~~do~~ tego osławionego Norylska. Na marginesie chcę powiedzieć, że brano tam tylko zdrowych, mocnych ludzi. Potrzebna była siła robocza. Starsi ludzie i chore kobiety z Krasnojarska byli wysyłani do miejsc, które myśmy nazywali kurortami. Lagry znajdujące się w tamtejszej okolicy, tzn. w okolicy 200-500 km w górach o klimacie, o mikroklimacie dosyć umiarkowanym, gdzie można było łatwiej przeżyć czas. I tak po tych kilku dniach jazdy, płynięcia na barkach znaleźliśmy się w Igarcie. Z Igarki pociągiem do Norylska 100 km. Przewieziono nas na miejsce. Każdy dostał jak zwykle swój przydział. Znalazłem się w obozie. Tych obozów, jak się okazało potem były krocie, więźniów, jak dowiedziałem się pod koniec swego pobytu tam było ok. 103 albo 130 tys., natomiast wolno pracujących mieszkańców Norylska 40 tys. Nie pamiętam daty przybycia do Norylska. Ja opowiadam skrótami i tak się w tej chwili ... i tak sobie kojarzę, że w opowiadaniu to idzie dosyć szybko, a czas przebywania tam w ~~lapse~~ piekielnie wolno. Woleliśmy zaliczyć tych 10 lat jak najprędzej - stracić z życia, żeby jak najprędzej skończyła się nasza niedola. Czasy zamierz- chłe - to już minęło od tego czasu 33 prawie 40 lat. Trudno

było pisać pamiętniki, trudno było jakiś dzienniczek prowadzić dlatego, że co jakiś czas odbywały się kontrole w obozie, przeglądane było wszystko, bo myśmy byli najgorszym gatunkiem więźniów - więźniowie polityczni - szpieczy, wrogowie narodu sowieckiego. I tak odpowiednio zostaliśmy też potraktowani. Od 48 r. a może nawet w 47 pod koniec, nastąpiła reorganizacja obozu w Norylsku. Ścisły podział więźniów na pospolitych i politycznych. Polityczni więźniowie znaleźli się zaledwie w kilku obozach. Stworzono im warunki odpowiednie do posadzenia, odpowiednie do kwalifikacji naszych tzw. przestępstw. Pamiętam powiedzenie pułkownika Gonczarowa, który był organizatorem i odpowiedzialnym za obozy polityczne, żeby stworzyć takie warunki, żeby pojawienie się dziecka w obozie było katastrofą. Dlaczego pojawienie się dziecka? Dlatego, że był również jeden obóz kobiet. I kobiety pracowały w miejscu pracy razem z mężczyznami. Były doprowadzane. Dochodziło do kontaktów, a w rezultacie często do urodzin dzieci. Więc stworzono nam rzeczywiście takie warunki, że kontakty były znikome i o niczym podobnym marzyć nikomu nie wolno było. Wyobrażam sobie, jak ciężko mężczyznom przebywać w takiej izolacji, tak podwójnie nieporównywalnie gorzej znosiły swoją niedolę kobiety.

I tak prace były rozmaite. Budowaliśmy miast~~o~~, budowaliśmy domy, budowaliśmy restauracje, a w związku z tym jeżeli restauracje to i kuchnie w dole, to i piece, to i temperatura odpowiednia. Kopało się fundamenty niejednokrotnie na głębokości 15 m dlatego, że musiało się dojść do opoki tzn. do kamienia, do skały, jako że fundament zbyt płytki do "mierzliny" tzn. 70 cm był niewystarczający jeżeli chodzi o przemysłowe obiekty - przemysłowe obiekty gdzie musiała istnieć odpowied-

nia temperatura.

To była budowa miasta Norylsk, tzw. ^{"gorstroj"} ~~gor~~stroj tzn. budowa miasta - w odróżnieniu od starego miasta, które było zabudowane drewnianymi bałoczkami. Ludzie mieszkali dosyć prymitywnie, a w ogóle myśmy budowali miasta na skalę europejską, z wszystkimi urządzeniami, ze wszystkimi wygodami. Było miejsce dla wszystkich, dla inżynierów, dla geologów, wszystkie specjalności w tym kierunku były wykorzystane. Trwało to długo, trwało to lata. Pocieszałyśmy się nawzajem i otuchę nam niósł jeden z naszych współtowarzyszy, ksiądz Władysław Ciszek. Ks. Władysław Ciszek dr teologii i filozofii, który miał obywatelstwo amerykańskie został oskarżony o szpiegostwo oczywiście też, jako że poświęcił się dobrowolnie, po wybuchu wojny głosił słowo boże wśród ludzi w europejskiej części Rosji. Dosyć szybko został zadenuncjowany, oskarżony o szpiegostwo i znalazł się razem z nami. Najsmutniejsze były święta - Boże Narodzenie szczególnie. Ksiądz ładził, spowiadał nas, pocieszał jak mógł i równocześnie człowiek skromny uczciwie wykonywał swoje obowiązki. Pracował, nie sabotował nawet razem z innymi, jak inni tak i on niczego dla siebie nie żądał, niczego nie oczekiwał. Jego szczęściem było jeżeli mógł kogoś pocieszyć, podtrzymać na duchu. Nawet pół roku temu otrzymałem list od misji amerykańskiej ~~amerykańskiej~~, która się zwraca do mnie z prośbą o napisanie paru słów wspomnień o księdzu Władysławie Ciszku, jako że misja wystąpiła z propozycją beatyfikacji księdza Ciszka. Ksiądz Ciszek ulegając treściom listów otrzymywanych w związku z jego powrotem ze Związku Radzieckiego napisał książkę pt. "Byłem szpiegiem Watykanu". Ja tę książkę będąc w Niemczech kupiłem sobie po niemiecku, nawet ją przywiozłem do kraju. Pożyczyłem kolegom, nawet nie wiem

gdzie ona się w tej chwili znajduje.

Norylsk - chciałbym coś bliżej powiedzieć o mieście, położeniu geograficznym, klimacie. Miasto położone za 68° szerokości geograficznej północnej tzn. za kołem polarnym północnym. Klimat wiadomo - 2 miesiące lata, reszta zima. Przyczem te 2 miesiące to były dni bez nocy - białe noce. Zimą temperatura 40°, powyżej 40°, przy czym najśrodszy okres to wtedy, kiedy wiała tzw. purga - wiatr, który czynił takie wrażenie, jakby dzień stawał się nocą. Wtedy kiedy wiał ten mocny wiatr razem ze śniegiem było tak ciemno, a wiatr tak mocny, że utrzymać się na nogach było niemożliwe. W pewnych wypadkach nawet przeciągano linę, przy pomocy której poruszano się naprzód. Klimat bardzo ostry. Dookoła tundra, tzn. tu i ówdzie jakieś małe drzewka, kosodrzewina. Nie rosło nic. Natomiast praca nasza była o tyle ciężka, że nie było środków przeciwko mrozowi. Było dużo odmrożeń, dużo kalek, a wikt nie był aż tak kaloryczny, żeby nam zapewnić ciepło. Pracowaliśmy jak powiedziałem budując miasto - to nasz obóz. Inne jeszcze obozy, inne lagry pracowały budując, tzn. rozszerzając, rozbudowując fabryki miedzi i produkując tę miedź. To była jedna z ^{my}większych fabryk w Związku Radzieckim. Pokłady były podobno wg opinii tamtejszych specjalistów, jedne z większych w świecie.

Jak więc upływał nasz czas w pracy. Latem, tzw. latem jeszcze jako tako, zimą strasznie. Pocieszaliśmy się spotykając się. Wierzyliśmy, że wrócimy. Wierzyliśmy, że nastąpi taki dzień, że wreszcie o nas się upomną. Żadnych wiadomości z domu, żadnych listów. Szczęście, że miałem grono takich przyjaciół, którzy pomagali sobie, nam, pomagaliśmy sobie nawzajem. Ten, o którym wspominałem, dzisiaj dr inż. już też na emeryturze, Piotr Karpowicz był strażakiem. Niezapomniane jego troski,

niezapomniana jego dobroć wpływała na nasze samopoczucie fantastycznie, nie mówiąc o tym, że miał jako strażak dostęp wszędzie, że zaopatrywał nas w chleb. Pełniąc dyżur w piekarni (bośmy mieli w obozie piekarnię) też od Polaków tam pracujących dostawał chleb, krajał przez pół, chował pod pas parząc sobie brzuch i przynosił nam pomagając bardzo efektywnie. Chleb, którego zawsze brakowało bez względu na to, ile się pracowało i ile się dostawało go w związku z tym.

Mam wielu przyjaciół tutaj w Polsce, wielu przyjaciół z tamtych czasów, z którymi się kontaktuję poza nim nawet. Są dzisiaj dziadkami, podobnie jak ja, spotykamy się od czasu do czasu w naszym Towarzystwie Sybiraków, wspominamy tamte czasy. Wtedy, kiedy wracaliśmy 33 lata temu byli młodymi chłopcami. Dziś są poważni, obarczeni rodzinami. Ale jedną zasadniczą rzecz dostrzegłem u innych, jakiś optymizm, optymizm który wynika z tego hartu, jaki był efektem tych doznań, tej wiary mimo ciężkiej pracy. Ta nieugięta wola powrotu do kraju i wiara, że nasze nadzieje się spełnią.

O tym, że Polska miała swój własny rząd wiedzieliśmy już wtedy, bo pisano to w prasie radzieckiej, ale nie czuliśmy, że to jest nasz rząd. Traktowaliśmy ten rząd jako rząd macoszy. Zresztą nas, jako ciężkich politycznych przestępców nie traktowano też inaczej, nazywano nas bezojczyźnianymi kosmopolitami. Myśmy nie mieli prawa śpiewać o Ojczyźnie, o kraju.

Aż zmieniło się w 53 r. Znajdowałem się wtedy na miejscu pracy, gdy podchodzi do mnie nasz towarzysz Gruzin, nazywał się Martaśian, i powiada te słowa: Władysław, czy ty wiesz, że Stalin zdechł? Ja podskoczyłem, on mnie uspokoił "uważaj, żeby ktoś ze strażników nie zauważył". Wiązaliśmy z jego śmiercią, jako ze śmiercią głównego autora, inspiratora naszych

doświadczeń, naszej gehenny - wielkie nadzieje. Zaraz po tym ukazała się wiadomość - notatka w prasie, że ma nastąpić amnestia itd. itd. rozmaite obietnice. Łudziliśmy się, że amnestia nas dotyczy, tymczasem po 2 miesiącach weszła amnestia, ale amnestia dla złodziei, dla tzw. Źurków. No i cóż w związku z tym? Nikogo z politycznych nie obejmowała, nawet agitatorów nie objęła. Więc ten stan rzeczy, te zawiedzione nadzieje spowodowały w pewnym sensie pewne rozprężenie. Ten zawód, który się odbił na efektywności w pracy, który się odbił na naszym nastroju, na stosunku jakiejś niechęci do władz, niechęci do wszystkiego. Brak nadziei powoduje też mniejszą aktywność. A jeszcze w dodatku dowiedzieliśmy się, że były jakieś spotkania z ministrem spraw wewnętrznych w Nowosybirsku, czy gdzieś, który dał nowe wytyczne. W związku z tym nasz generał lustrujący obóz badał ręką każdy słup, czy się dobrze trzyma, czy nie będzie ucieczek, czy nie będzie jakiś niespodzianek, które by mogły sprawić kłopot władzom. Równocześnie niczego nie zmieniano, żadnych obietnic nam nie dawano, wszystko pozostało po staremu. Jakies tam rozgrywki były w rządzie, to o tym historia, Beria, nie Beria, faktem jest, że dowiedzieliśmy się pewnego dnia, że w innym obozie, gdzieś koło kopalni został zastrzelony więzień, który odmówił wykonania polecenia udania się samochodem do sądu, gdzie miał się spotkać z kimś, kto mu obiecał ponoć zemstę, czy coś w tym sensie. To prawo było dotąd szanowane, jeżeli współwięzień nieprzychylny dla danego więźnia mógł zagrażać życiu czyjemuś - nie doprowadzano do styczności. W tym wypadku ten więzień został zastrzelony przy bramie obozowej. Czuło się w powietrzu, że istnieje jakaś instrukcja, której celem było utrzymanie, a może nawet zwiększenie rygoru w obozie, jako że władze wiedziały, że w

związku ze śmiercią Stalina może nastąpić rozprężenie. Myś-
my o tym wiedzieli dobrze i równocześnie żadnych obietnic
nam nie dawano, jeżeli chodzi o ulgi w siedzeniu, o rewizje
spraw. Było wiele osób, które siedziały bezpodstawnie. Nie
tylko my Polacy, ale nawet obywatele Rosji.

Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć niezwykle szlachetnej
postaci lekarza dr Carla Dentzla, Niemca nadwożańskiego,
który został aresztowany pod zarzutem (jak mu po roku pokaza-
no decyzję o areszcie) przygotowania wysadzenia w powietrze
fabryki, która nie była jeszcze budowana. Dopiero po 2 latach
jak go osadzono w więzieniu zaczęto budowę tej fabryki. To
jedno z charakterystycznych z wielu przypadków działalności
NKWD, zresztą bardzo często opisywanych w naszej prasie dzi-
siejszej. Ale o tym wtedy tylko myśmy wiedzieli.

Itak powoli zbliżamy się do najbardziej drastycznego okresu,
do którego musiało dojść. Pewnego pięknego popołudnia, to by-
ło latem w czerwcu wróciliśmy z pracy. Obok nas prowadzono
brygadę żeńską do pracy. Większość z nas to byli Ukraińcy.
I również Ukrainek było najwięcej w obozie żeńskim. Rozpoczę-
ły się przekrzykiwania wzajemne, zapytania: Marusia, czy masz
jakieś wiadomości z domu itd. Chłopcy, ci Ukraińcy chcieli się
coś dowiedzieć, chcieli usłyszeć parę słów o rodzinnej wiosce,
widocznie mieli oni jakieś możliwości kontaktowania się, cho-
ciażby nawet dlatego, że Ukraina pozostała na terenie Związku
Radzieckiego, a moja rodzina już wyemigrowała, dlatego myśmy
nie mieli, my Polacy nie mieliśmy żadnej korespondencji z do-
mem. Strażnik zwrócił uwagę, żeby nie rozmawiać przez druty,
że to jest zabronione. Po krótkiej wymianie (nawet niezbyt ag-
resywnej ze strony więźniów) słów strażnik powiedział: jeżeli
nie przestaniecie strzelać będę. Ale nie czekał, aż posłuchają,

przygotował automat do strzału i dał serię do ludzi w obozie poprzez druty. W związku z tym 2 zostało zabitych, 3 rannych. ~~To spowodowała~~ ^{Te spowodował je} nasza solidarność obozowa, doprowadziła do tego, że wszyscy stanęliśmy murem przeciwko brutalnemu naruszeniu praw międzynarodowych i postanowiliśmy nie iść do pracy. Ten bojkot pracy polegał tylko na tym, że siedzieliśmy w obozie. Dostarczano nam chleb, dostarczano nam pożywienie, a myśmy do pracy nie chodzili mimo nawoływań, nie ruszyliśmy się i żądaliśmy komisję z Moskwy. Dlaczego bez powodu strzela się, morduje się więźniów, którzy pracują, którzy budują fabryki, budują domy i pracują dla kraju. Po kilku próbach zastąpienia komisji moskiewskiej tamtejszymi krajowymi władzami przyleciał wreszcie srebrny samolot, który przywiózł moskiewską komisję. Komisja składała się z kilku osób, w większości z wyższych oficerów NKWD, wystawiono stoły przykryte sukniem czerwonym, byli mówcy po naszej stronie obdarzeni kunsztem oratorskim - pięknie mówili, wypowiedzieli te wszystkie nasze krzywdy, dlaczego jesteście zamykani w barakach na noc, dlaczego nosimy numery na 12 cm długie, dlaczego jesteście pozbawiani ludzkich praw domagania się sprawiedliwości, domagania się przede wszystkim rewizji naszych spraw, naszych dzieł. Wszystko to było w tonie rzeczowym. Komisja wysłuchiwała, obiecała zająć się, ale musieliśmy przyrzec, że na następny dzień pójdziemy do pracy. Rzeczywiście przy dźwiękach dętej orkiestry wyruszyliśmy do pracy. Mieliśmy na miejscu orkiestrę. Sprowadzono gdzieś skąd instrumenty dęte, ja nawet sam grałem w orkiestrze na puzonie. Wyruszyliśmy do pracy, ale już po kilkuset metrach wywołano jednego, drugiego, trzeciego - mimo zapewnień komisji, że nikt nie będzie represjonowany za wystąpienia. Wywołano: to Dikariew, to Sobolew, to Wysocki. Odwołano, poprowadzono pod eskortą do sądu, zresztą przypuszczamy ... myśmy ich potem nie spotkali.

Nie wiemy dokąd ich odprowadzono, jaki był ich los dalszy. To nie byli tylko Polacy, to byli Rosjanie, było paru oficerów z Mandżurii, byli wojskowi, byli oficerowie, którzy zostali aresztowani w czasie pogromu Tuchaczewskiego w 38 r. Pierwszy dzień minął, wracamy. Jak to może być, dlaczego nas oszukano? Przecież nam zapewniono bezpieczeństwo, zapewniono, że żadne represje nas nie dotkną. Więc co? Wracamy do obozu, dowiadujemy się, że przygotowuje się nowy etap. Też padła obietnica, że żadnych zmian w obozie nie będzie, nikt nie będzie przerzucany z jednego obozu do drugiego. Ten nowy etap jakoś kojarzył nam się ze smutną nazwą obozu, który miał dość niesławną opinię. Po prostu mówiło się o tym, że kiedyś w czasie wojny jeszcze, jeżeli kogoś miano zlikwidować, to do tego obozu wysyłano. Padła decyzja - koniec z pracą. Krótko mówiąc to nasza praca długo nie trwała po pierwszym etapie, po odlocie komisji moskiewskiej. Rozpoczął się drugi etap buntu. Jak poprzedni polegał na tym, że siedzieliśmy w obozie i nic nie robiliśmy. Nawoływano, umieszczono głośniki, namawiano, agitowano, żeby przystąpić do pracy. Wreszcie w 9 dniu buntu - rozporządzenie naczelnika lagru. Zmienia się normę jedzeniową na normę nr 9, co to miało znaczyć - to nam się kojarzyło z 9 gramami ołowiu. Norma nr 9 w tym wypadku to miało być zmniejszenie ilości jedzenia i chleba do ^{niżej} najbardziej normalnej - ~~po prostu~~ ^{po prostu} 1 kg dziennie. Po tym zarządzeniu w nocy ok. godz. I, między I a 2 przerąbano druty w 2 miejscach naprzeciw siebie. Spaliśmy, raptem ktoś nas obudził - automatycy w obozie. Rzeczywiście. Wybiegliśmy z baraków. Naprzeciw nas stał pluton z automatami skierowanymi prosto na nas. Pluton, który swoim szykiem przeciął obóz na 2 części. Niespokojni, zdenerwowani, niepewni o jutro oczekiwaliśmy zresztą podobnego przedsięwzię-

cia z tamtej strony, ale mieliśmy już tak dosyć, że może nie wszyscy panowali nad swoimi reakcjami. Jeden z Litwinów chwycił coś ciężkiego, rzucił w stronę oficera. Ten dał znak, posypała się seria w tłum ok. 1000 osób. Wszyscy padli, ktoś jęczy, kto już milczy, kto zalany krwią. Ja chciałem męczącego się, rannego towarzysza przenieść do punktu sanitarnego. Kazano mi go rzucić, zostawić i leżeć. Tak leżeliśmy, nie wiem - pół godz. może godz. po czym padł rozkaz: wychodzić! Puszczono psy. Psy nas popędzały, żeby to wychodzenie z obozu szybciej nastąpiło i zaczęto nas prowadzić przez tundry, mokradła, krzaki, małe laski, po górkach, dolinach aż nas przyprowadzono pod inny jakiś obóz, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy.

Tam stały gotowe stoły, na stołach nasze dokumenty, nasze akta. Rozpoczęło się czytanie i segregowanie jak na sądzie ostatecznym. Ten w lewo, ten w prawo, ten lepszy, który nie był zaangażowany w buncie do tego obozu został wpuszczony, tam go odpowiednio przyjęli już tamtejsi mieszkańcy, przeważnie bandziory. A ja, jak zwykle ze swoim przyjacielem Piotrusiem Karpowiczem na dół, nad jezioro. Myśmy zawsze byli gorszymi, najbardziej niebezpiecznymi. Zresztą, jak nam mówiono już po naszych gębach, widać było, że jesteśmy "wyrqgi naroda".

Tam nad tym jeziorkiem przeczekaliśmy, całe szczęście była ładna pogoda, ciepło dosyć, może ze 2 - 3 godz. Kazano nam wstać i przeprowadzono przez miasto. Szliśmy przez miasto Norylsk szosą prowadzonych jak buntowników. Jedni nad nami się litowali, inni wygrażali nam - mieszkańcy miasta. Zaprowadzono nas na stację, wsadzono - załadowano do wagonów bydłowych, a to ~~to~~ takie wagoniki chyba były mniejsze niż normalne, bo to była wąskotorówka - tośmy się nieomal dusili. Po godzinie jazdy załadowano nas, znaleźliśmy się w pustym obozie przy lotnisku.

Obóz do niedawna zamieszkały przez pospolitych przestępców. Tamtych - czy zwolniono może wskutek amnestii, właśnie ich zwolniono, albo część przeniesiono do innych (obozów). Dla nas przyszykowano ten nowy obóz - dla buntowników.

W tym obozie mieliśmy przebywać jakiś czas, aż się wyjaśni, aż Moskwa zdecyduje co z nami czynić. A w Moskwie też nie wiadomo było co z sobą mają robić, bo to były czasy Berii, czasy próby objęcia władzy przez Berię. W końcu po kilku tygodniach (karmiono nas normalnie całkiem uczciwie, jakbyśmy pracowali, chociaż nie chodziliśmy nigdzie do pracy) - po paru tygodniach dowiedzieliśmy się, że Beria został postawiony przed sąd i w związku z tym zaproponowano nam pracę, zaproponowano nam uczciwe dotrwanie do końca wyroków, albo może nawet jakaś amnestia będzie. I ja dalej ze swoim miłym przyjacielem i innymi Polakami znalazłem się w innym obozie, w obozie przy kopalni węgla - odkrywkowa kopalnia węgla. I tam zdawałoby się dotrywamy do końca.

W międzyczasie jednak rozpoczęły się pewne ulgi, bo mój przyjaciel (jako niepełnoletni aresztowany) został zwolniony tych parę miesięcy wcześniej, może rok, znalazł się na wolności. Ja jeszcze tak przetrwałem rok, nie, parę miesięcy, po czym przeniesiono mnie do innego obozu blisko tego pierwszego, w jakim się znalazłem po przyjeździe do Norylska i stamtąd już wyszedłem na wolność.

Nie zapomnę jeszcze po tym okresie buntu nasze reakcje, niektórych naszych kolegów. Niektórzy nie chcieli w ogóle pracować, bo już mieli tak dosyć. Życie im zubożało, stracili wiarę w cokolwiek. Ja musiałem nawet perswadować, byłem bliski użycia siły, żeby zmusić człowieka, żeby się przystosował do tych warunków, żeby dotrwać, jako że niewiele pozostało.

Byli tam razem z nami - tam właśnie na górze przy kopalni - byli katorżnicy, którzy mieli po 20 lat wyroku. Ale czułem, czuliśmy zresztą wszyscy, że się coś zmieni. Coś się zmieni na naszą korzyść. No i stopniowo, stopniowo rzeczywiście rozpoczęły się pewne ulgi - amnestie. Ja z amnestii nie skorzystałem, bo mój wyrok już się miał kończyć. To był też okres bardzo niebezpieczny, bo wtedy tam było bardzo dużo Ukraińców, którzy nie przebierali w środkach, szczególnie w tym wypadku, jeżeli mieli jakieś wątpliwości co do uczciwości kogokolwiek, czy nie denuncjuje. Bywały takie wypadki, gdzie wracając z pracy, czy idąc do pracy spotykaliśmy kogoś leżącego z rozbitą głową - przerąbaną siekierą. Ktoś z pierwszych szeregów, nawet straż nie zauważyła bo było ciemno. Samosady ~~te~~ były na porządku dziennym, głównie tych, którym nie ufano, względnie co do których miało się pewne podejrzenie, że są donosicielami. To był rok 54, gdzieś mniej więcej w październiku. Zostałem zwolniony, pożegnałem się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi i współwięźniami bardzo serdecznie i poszedłem do miasta. Miałem szczęście, że nie przedłużono wyroku.

Acha, jeszcze wspomnę, jakie były szanse, jeżeli chodzi o przedłużenie wyroku. W każdym obozie była jeszcze pewna instytucja nadzoru poza NKWD, byli jeszcze oficerowie MGB (Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego). Ci oficerowie czuwali nadcałością. Oni mieli większe prerogatywy i oni właściwie byli panami sytuacji. Oczywiście, żeby wiedzieć o tym, co się dzieje, o czym się w narodzie mówi, co w trawie piszczy musieli kogoś zwerbować ~~do~~ współpracy. Pamiętam taką historię. Ponieważ ja przez pewien czas pracowałem w klubie, tzn. byłem zajęty jako artysta, tam pisałem, chór prowadziłem w wolnych chwilach. Więc licząc na moje kontakty z innymi, zresztą

licząc na to, że ja będę zazdrośnie strzegł swego ciepłego miejsca - pójdę na współpracę. Zaczęło się od porucznika, przez kapitana do pułkownika. Tak mnie stopniowo coraz wyższa szarża agitowała. To mnie w końcu zgniewało i pułkownikowi powiedziałem - pamiętam nazwisko, Saryczew się nazywał: "panie pułkowniku, pan jest byłym żołnierzem, ~~pan nie służył nigdy w tej służbie~~, pan był na froncie, pan walczył, był ranny jak wiem. Umówmy się, że ja też jako żołnierz organizacji podziemnej, wprowadźcie przedwojenny również, że ja powiem panu jak żołnierz żołnierzowi. Nie będziemy sobie zawracać głowy, ja przeciwko swoim nie będę działał". Podał mi rękę i powiedział "ty praw, możesz iść".

Ponieważ nie da się przedstawić moich dziejów, moich przeżyć chronologicznie, tylko pewne fragmenty sporadycznie wpadają do głowy, więc chciałbym wspomnieć o jednym dosyć oryginalnym zdarzeniu.

Wiadomo, że w obozach odbywało się liczenie tzn. apele. Kto pracował w obozie, ~~ten~~ musiał na apelu stawić się w swojej brygadzie. Ponieważ ja przez pewien czas, jak wspomniałem pracowałem z chórem i liczyłem się, byłem, należałem do brygady tzw. kulturowej czy kulturalnej jak tam kto chce ... Nie, przepraszam. Pracując w klubie należałem do piekarni. Chodziłem na apel do piekarni, będąc wpisanym w rejestr pracowników piekarni. Oczywiście nie miałem nic wspólnego z pieczeniem chleba, tylko tak samo, jak u nas sportowcy dzisiaj są przypisani do jakiejś fabryki, do jakiegoś zakładu. Stamtąd te gąże dostają, których może nie odbierają, bo nie potrzebują. Ale ja z niczego nie korzystałem, natomiast byłem zobowiązany zjawić się o odpowiedniej godzinie wtedy, kiedy ogłaszano apel

~~to ma być~~ *liczenie innej grupy* - zjawić się w piekarni. Wtedy czy-

tałem Tolstoja "Wniebowzięcie" czy "Zmartwychwstanie". "Zmartwychwstanie". Tam jest taki dosyć długi rozdział o bluźnierstwie Niechludowa, wtedy kiedy zjawia się^u Masłowy w więzieniu. Widzi krzyż, który wisi na drzwiach na bramie więzienia i ten krzyż jest tematem, który pisarzowi pozwolił na temat tego kłamstwa, zakłamania wypowiedzieć się na 4 kartkach przynajmniej. Więc ja czytam o tym bluźnierstwie bohatera przeciwko Bogu, o krzyżu, zanim podeszli strażnicy. Czytam, siedzę na ławce, koło mnie taki człowieczek o niezbyt sympatycznej powierzchowności - jak niemiły zewnątrz, tak i podły charakterem - to się potem okazało. Na następny dzień ja się dowiaduję, że ja już mam iść do pracy na miejsce budowy domów. Zostałem przepędzony ze swego miejsca dotychczasowego, już nie mam co robić w klubie. Mój naczelnik oczywiście zaraz się dowiedział o tym i stara się wyjaśnić sprawę. Dlaczego? za co? co ja złego zrobiłem? Okazuje się, że ja czytam książki o tematyce religijnej. Jak do tego doszło? Tenże mój sąsiad, który siedział na ławce koło mnie podpatrzył tylko, że mowa o Bogu i doniósł, że ja książkę o tematyce religijnej - tym się interesuję i to czytam. Więc za to mnie spisano. Oczywiście potem jak się sprawa wyjaśniła, potem ten Sasza, bo tak miał na imię, został na moje miejsce przepędzony do roboty, tam do kopania fundamentów tzw. ^{got}gastroju, a ja wróciłem na swoje miejsce.

Po odsiedzeniu tego zaocznego 10-letniego wyroku, rok jeszcze pracowałem w mieście w domu kultury, po czym dowiedziałem się o repatriacji Polaków, która ma nastąpić z końcem roku. I tak w ciągu półtorej godziny zawarłem 10-letni okres spędzony w dalekim obozie na podstawie zaocznego wyroku, okres pełen pracy, niepokoju, tęsknoty, często wątpliwości jeżeli chodzi o przyszłość, ale wspólnie z przyjaciółmi pomagaliśmy sobie,

pocieszaliśmy się na duchu.

Wydaje mi się, że trudno zawrzeć na kasecie w ciągu półtorej godziny to wszystko co się przeżyło w przeciągu 10 lat.

Co pozostało? Pozostały twarze ludzi dobrych, pozostały mocniejsze zdarzenia, jak krwawa rzeź, pozostały reakcje nawet tych strażników, naczelników, u których jeszcze sumienie, serce biło żywiej. Pozostały moje tęsknoty, niepewności, pozostały nasze wspólne święta Bożego Narodzenia. Minęło przecież 35 lat od powrotu do kraju. Ale pozostałem ja - zdrowszy, z optymizmem, że będzie lepiej, że jakaś sprawiedliwość jeszcze istnieje, a jeżeli nie istnieje to zaistnieje. Oby tak było.

Jacyn Buziakiewicz Patrycja Malcewicz

PRZED "SOLIDARNOŚCIĄ" 27 LAT WZESNIEJ,

CZULI KREW NA KUFASZE.

Władysław Malczewski

Wieczór, 14 stycznia 1991. Z niepokojem oczekuję wiadomości z Wilna.
Włączam telewizor.

Na tle czarnego nieba i pogrążonego w mroku nocy miasta, krzyżują się światła reflektorów.

Ruchomy snop wędruje po wylęknionych, zatroskanych, zdeterminowanych twarzach zbitych w masę tysięcznych tłumów ludności miasta, które się osmieliło wypowiedzieć posłuszeństwo wszechwładnemu Kremlowi i upomnieć się o wolność, przed półwiekiem zdradziecko zagarniętą.

A naprzeciwko czołgi i ciężarowe samochody przed i między nimi mundury z pepeszami, twarzy nie widac, a raczej są wszystkie jednakowe, posłuszne.

Fonad tym wszystkim monotenny, przestrzegający przed "nieodpowiedzialnymi prowokacjami" głos^Z megatonów, tych bezdusznych pudeł, co przez 70 lat karmiły świat kłamstwami, uczciwość zwąc podłością, a zdradę lojalnością.

A oto szpital. Kobiety i mężczyźni w białych kitlach, wózek za wózkiem przewozi rannych, zakrwawionych mężczyzn, kobiety, młodzież.

Jest ktoś zmieszany przez czołg, słycheć jęki rannych, rozpacz najbliższych.

Ulica, trup młodego człowieka, nad nim klęczy płacząca matka.
W ludzkich oczach desperacja i pytanie: Za co?

Stary kosjanin, uczestnik wojny, ostentacyjnie zdejmuje z piersi odznaczenia wojskowe.

Skąd ja je znam, te noce pełne grozy, tłumy ludzi z determinacją, oczekujące na najgorsze, ten sam głos z megatonów, pełen pseudo-humanitarnego patosu, nawołujący do "rozsądku" i podporządkowania" - A potem.... serie z kilkunastu automatów, jęki rannych, przekleństwa, rżenie konających...

Było to na przełomie lutego i marca 1953 - dziewiąty rok mego 10-letniego zocznego wyroku.

Z tej odległej przeszłości zachowały mi się w pamięci pewne szczególne zdarzenia, a raczej fragmenty, obrazy, ludzkie twarze, które, jak kadry filmu, chronologicznie poukładane pozwoliły na odtworzenie historii jaka wydarzyła się 38 lat temu.

Będąc w pewnym okresie zatrudnionym w zonie, a ściślej w klubie, miałem obowiązek codziennie popołudniu stawić się na apelu w piekarni, w której rejestrze fikcyjnie figurowałem.

Obszar kultury w czołgie w sensie działalności rozrywkowej, która mnie z racji profesji mogła pomóc przeżyć, była w szczególnej pogardzie;

propaganda ideologiczna ochrzciła nas mianem: "Bezpodryje kosmopolity", uważała nas za straconych, jeżeli chodzi o szanse "resocjalizacji" słowa "ojczyzna", w sensie tej radzieckiej, było w pieśniach zakazane, bo byliśmy jej niegodni! To nas n.b. nie było w stanie załamać.

I tyżak pewnego popołudnia, oczekując na przybycie prowadzącego liczenie, strażnika, siedziałem na ławce w piekarni, zajęty lekturą "Zmartywychwstania" A. Rołstoja. Czytałem właśnie rozdział, jak Niechludow, oczekując w oczekalni więziennej na widzenie z Katią Masłową i widząc przed sobą ukrzyżowanego Chrystusa, oddaje się rozmyśleniom na temat Boga, jego miłosierdzia, wybaczenia i poświęcenia, którego sam Chrystus, na ścianie więzienia rozpięty, jest symbolem i nauką.

A tu, o ironjo! koszmar więzienia, miejsca udręki wielu niewinnych istot ludzkich, pozbawionych prawa do wolności, jakże często, wobec bezduszności sędziów i tej całej maszyny biurokratycznej.

A ty, Fenie, widzisz to i osłaniaasz sobą!...

Skonczyło się liczenie, strażnicy przeszli. Siedzący obok mnie Sasza o coś zapytał, odpowiedziałem półgębkiem, żywiąc dlan pogardę, wobec istniejącej o nim opinii donosiciela. Zresztą, jak się nabrałem okazało, opinii nie bezpodstawnej...

Na następny dzień rano powiadomiono mnie o przeniesieniu do brygady Bezschowa, pracującej w "Gorostroju" /budowa bloków mieszkalnych/ przy kopaniu fundamentów, których głębokość sięgała często 15 m.t.j. aż do opoki. W brygadzie istniał swoisty rygor, sam brygadziosta, twerdział, kryminalista, wyciskał z ludzi ostatnie poty, by osiągnąć wyniki. Po przybyciu na miejsce nastąpił podział zadań, "a ty, -powiada brygadziosta, - będziesz czuwał nad ogniem w piecyku, by ludzie w przerwie mogli się ogrzać, i śnieg odrzucisz przed bałoczkim, gdy go za wiele napada?" - czyż w imię solidarności miałem protestować: ktoś tę funkcję też musi pełnić. Byłem zaskoczony, ale rad, bo każdy wygrany dzień liczył się. Zapaliłem w piecyku, wrzuciłem węgle, a gdy już płomień na dobre zaczął huczeć, chwyciłem łopatę i wyszedłem by odgarnąć śnieg. Aż tu podchodzi Żora Martarasjan, zaprzyjaciłony z nami, kolekami. "Znajesz, szto Stalin padoch?" - powiada. Podziałało to na mnie jak grom, zaskoczony podskoczyłem jak ~~xxx~~ z radości. Żora chwycił mnie za ramię i zgnął: "Uważaj, to niebezpieczne, może ktoś zobaczyć."

A więc nareszcie doczekaliśmy się. Szkoda tylko, że tak późno, większości z nas pozostał już tylko rok, dwa.

Ustał śledziliśmy w radio każdą wiadomość, nie, kto zajmie jego miejsce, bowiem system się nie zmieni, lecz, jak wiadomo w podobnych przypadkach, należy oczekiwać jakiegś amnestji. Ale jakiej?

W krótkce zostałem wezwany do naczelnika kulturalno-oświatowego. "Propagandę religijną uprawiesz" - powiada z uśmiechem... Byłem przygotowa-

na to pytanie, więc wyjmując z pod pachy książkę, zaczynam:
Jeżeli "Zmartwychwstanie" Tolstoja służy propagandzie religijnej...
"-Wiem, wiem" - powiada, poinformowany już wcześniej przez kolegów z klubu
- "Wracaj do swojej brygady piekarzy!"

A Sasza: - poszedł na moje miejsce do bezsonowa ale do łopaty na mrozie i ktoś już inny dorzucał węgla, by Sasza mógł rozgrzać swe skostniałe ręce. Zresztą nie interesował mnie jego los, bowiem wiedziałem, że w końcu do siebie radę, poprostu znowu kogoś sprzeda, ale już bardziej niezawodnie. Tacy nie zginają!

wreszcie ogłoszono amnestię, akt wielkiej łaski partii, ale... otóż z politycznych paragrafów tylko § 58 pkt 10 podszedł pod nią, t.j. "propaganda i agitacja".

Mógł liczyć na nią tylko jeden cienadij - świetny akordeonista, pesadzony na 10 lat za to, że z uznaniem wyraził się o amerykańskich instrumentach.

Dla nas ta amnestia żadnych szans nie otwierała. Błysnęła więc iskierka nadziei i zgasła! Cszukani powrociliśmy do poprzedniego niewolniczego rytmu, jaki narzuca instynkt przetrwania.

Na początku maja w obozie podniecenie. Czyżby nam coś nowego szykowano? Najgorsze to "etapy"; przerzucanie do innych obozów, zrywające zadziębienie przez dłuższy pobyt w jednym miejscu, więzi, przyjaźnie, gdzie w wieczornych, szeptem prowadzonych, poufnych rozmowach, można otworzyć serca, wspominając przeszłe, marząc o przyszłym.

Ale tu chyba nie o nas chodzi, oficerowie sprawdzają porządki w kuchniach, magazynach, barakach, oczekując jak gdyby komisji lub kogoś ważnego.

I rzeczywiście przybył generał, naczelnik krasnojarskiego NKWD - jak głoszą przecieki, po naradzie jemu podobnych z całego związku z Ministrem NKWD w Nowosybirsku. I rzeczywiście, pojawił się z całą swiłą, wszechwładny pan życia i śmierci. Zagrzeł do kuchni, ambulatorium, do kilku baraków, po czym własnoręcznie sprawdzał ~~opracowane~~, czy słupy stoją pewnie, lekko chwiejące się każąc wzmocnić.

Ej, niedobrze! - pomyśleliśmy, otrzymali jakas nową instrukcję, posiadając może sygnały o "niebezpiecznych nastrojach" wśród więźniów. Tymi sygnałami jest oczywiście spadek produktywności po pozostawiającej większość z nas resztek nadziei, ogłoszonej + amnestii.

Minęło parę dni. Ktos z więźniów - ~~polityczny~~ kryminalista został wezwany na wachtę w związku z rozprawą sądową, na której miał wystąpić w roli świadka. Więzień odmówił, tłumacząc zagrożeniem życia ze strony adwersarza procesowego. Obawiał się wspólnego przetywania z nim w jednej celi. W tym zaś świecie nieubłagane jest prawo zemsty

w przypadku "sypania". W razie braku noża, czy innego narzędzia, przeciwnicy przegryzają sobie gardło. Dosłownie!

Zwyczaj odmowy z uwagi na niebezpieczeństwo utraty życia, był dotąd respektowany przez władze, dziś jednak względów nie było! Dowódca konwoju zagroził użyciem broni w razie niepodporządkowania się. Powtórzył rozkaz raz i drugi. Strzał! Więzień padł przy samochodzie. Konwoj odjechał.

Podobne zdarzenie miało miejsce ^{też w jakimś} w innym obozie, na ~~"Kopiecu"~~ ^{na "Kopiecu"}. Dało nam to wiele do myślenia, a przede wszystkim pozbawiło resztek złudzeń. Przykręcili srubę!

Ta tundra, która się wokół nas rozciągała, kryjąca ogromne bogactwa we wnętrzach jej pagórków, jeżeliby mogła przemówić, to westchnęłaby jękami i bezsilną rozpaczą rozstrzelanych tam bez sądu przed wojną i w pierwszych latach po jej rozpoczęciu. Sądy, wiadomo, były komedią a zaoczne wyroki w zwyczaju. Znamienne były reakcje oczu i przestach starych norylczan - byłych więźniów, na dźwięk słowa "Kopiec". Czym był wtedy "Kopiec"? Ni to lagier, ni to baraki, w tym czasie już opustoszałe, kryjące w sobie tę ponurą tajemnicę.

Na przełomie maja i czerwca zaczynają się cieplejsze dni, zaś na odległym od nas o 100 km Jeniseju rusza wiosenna kra. Tchnienie wiosny czuje się wraz z wiatrem, niosącym zapach trawy. U tej porze roku każda istota odczuwa tęsknotę do życia, miłości, spełnienia swojego ziemskiego powołania.

Pewnego czerwcowego popołudnia, po pracy, stali chłopcy na ganku swego baraku, oczekując przejścia na popołudniową zmianę żeńskich brygad. Ci, przeważnie ukraińscy chłopcy, w sobie tylko wiadomy sposób kontaktowali się z dziewczętami pochodzącymi z tych samych wsi, co oni i ciekawo byli nowin z rodzimych stron. Zresztą przebywając w zupełnej izolacji ^{sch.} od drugich, radzi byli choćby głos znajomej dziewczyny usłyszeć. Tak więc nie podchodząc do drutów, lecz stojąc na tarasie baraku, rozpoczęli niewinny przekrzykiwania w rodzaju: "Marusia, czy dostałaś list?" Tak! "A czy ojciec żyje?"

Tu konwój nakazał przerwać nawoływania, grożąc użyciem broni. Chłopcy zlekceważyli ostrzeżenie, bo przecież poprzez druty do znajdujących się w zonie, nikt jeszcze nie strzelał. Katalna pomyłka! To w prawie międzynarodowym, ale nie tu gdzie ^{państwo} jest prawem! Zaterkotał automat. Dwóch padło śmiertelnie ugodzonych, trzech rannych ślaniających się odprowadzono do punktu sanitarnego. W obozie wrzenie, tym większe, że prawie wszyscy powrócili z pracy, spacerując lub grzejąc się na słońcu. Wieść rozeszła się po wszystkich barakach,

zresztą już strzały z automatu ~~wzbudziły~~ wzbudziły podejrzenie, że stało się coś niezwykłego! Kto mógł, spieszył ~~się~~ do baraku, na skraj którego leżeli martwi koledzy, przed nimi i na miejscu po rannych ogromne plamy krwi. A niewinna krew, to zapalnik, to początek mitu, zarzewie buntu. Więc nie dość, że prawie za darmo to za miskę "Bałandy" i kawałek chleba oddajemy im swoje siły, pot i zdrowie, budując dla nich fabryki i bloki, to jeszcze mordować nas będą, strzelając do bezbronnych!

Ktoś rzucił hasło: "Nie idziemy do roboty! Jeżeli mają nas wystrzelać, to niech strzelają, ale się nie ruszymy!" Ktoś inny dodał: będziemy strajkować, dopóki nie przyjedzie Komisja z Moskwy! "Tak jest! Żądamy przyjazdu Komisji rządowej!"

Tak więc zapadła decyzja jednoznaczna i niedwołałna!

Na wartowni i w sztabie ruch, wezwano naczelnika obozu, ten kazał wzmocnić strażę, próbowano rozmawiać z ludźmi. Nadaremnie! Świeże emocje, żywioł!

W tę noc długo rozmawialiśmy, odwiedzaliśmy baraki, gdzie mieszkali nasi, tak i inni bładzili, w oczekiwaniu tego, co jutro przyniesie. Już spałem, choć to nie był sen spokojny, gdy obudził mnie Piotrek, który, jako strażak, pełnił dziś dyżur, wrócił z obcędu od Władka, piekarza. "Mam coś" - powiada. Domysliłem się z jakim łupem przychodzi. Trędko wyjmuję, bo piecze! Foremkowy chleb przekrojony wzdłuż, gorący, schowany między koszulą a kurtką, wyjąłem, każdą połowę oddzielnie. Sam swe palce prawie parząc.

A Piotr zawsze po takiej "akcji" miał pęcherze na brzuchu. Ale taki był riotr! Z połową wyskoczył gdzieś na chwilę, by zanieść komus z naszych. Dopiero gdy powrócił zabrał się do jedzenia.

Nikt, kto nie odczuwał kiedykolwiek niedostatku chleba, kto nie zaznał głodu, nie zrozumie, czym jest i jak smakuje świeży, cz^orn^y chleb! Czy może powstać poezja, która by w swojej doskonałości zawarła cały ten sens, doznania, szczęścia ze zdobycia go! Najedzenia się do syta!

Ze swojej młodości pamiętam jeden wiersz, nie wiem kto był autorem: "Dwa chleby" - "Jest chleb, czarny chleb, zdobyty w pocie czoła i strugach własnej krwi. I jest jeszcze chleb biały, obmyty łzami, rodzinem biednym zabrany - zadławić może czasami!"

Tak w skrócie, bowiem "in extensu" całego wiersza nie pamiętam dziś po tylu latach.

Siedzieliśmy jeszcze długo, zgadując, co przyniesie nam poranek. Wiadomo, że nie wyjdziemy do pracy, ale jak oni zareagują? Jakie dostali dyrektywy? Tego jeszcze chyba nie było! A może się zdarzyło, tylko my i świat o tym nie wie.

nie zostało 1,5 roku, Piotrowi mniej, gdyż jako aresztowanemu w niepełnoletności przysługuje mu wcześniejsze zwolnienie. Żeby na tym buncie nie przegrać, jeżeli wogóle przeżyjemy. Faktem jest, że odbiliśmy się od instynktu przetrwania, który raczej nakazywałby uległość i sięgnęliśmy do wyższych wartości, które są ponad zwierzęcą troskę, o zachowanie gatunku. Co to jest? Czyżby godność? Stałismy się ludźmi: może nie na długo, ale zwyciężyliśmy strach!

Nadszedł poranek. Dyżurny przyniósłszy w wiadrach zapę z kuchni i chleb, obudził swoje brygady do śniadania. Wszyscy chętnie zjedli, lecz nikt nie myślał nawet o wychodzeniu do pracy. Jedni zdeterminowani, uważając decyzję za słuszną, inni, mniejszość ze strachu przed pierwszymi lub nie chcąc szańbic się słabością. Jednych i drugich gdzieś w podświadomości gryzła niepewność. Mogą nas zdzesiatkować, lub w najlepszym wypadku, dodać nowe wyroki.

Najpierw pojawił się nasz rachmistrz/ narządczyk/ prowadzący rejestr z ramienia konendy, wzywając do wyjścia. Wymiano go! Potem naczelnik z podległymi mu podoficerami, próbując najpierw perswazją, wreszcie grozbami zmusić do wyjścia.

"Żądamy przyjazdu komisji moskiewskiej, niech nas wysłucha, wtedy wyjdziemy" - padła jednoznaczna odpowiedź:

W ciągu dnia zainstalowano głośniki na słupach, przez które co jakiś czas apelowano do naszego rozsądku. Zaopatrzenie odbywało się ~~regularnie~~ regularnie, kuchnia, piekarnia, punkt sanitarny funkcjonowały normalnie.

Śród naszej społeczności wyłonieni zostali przedstawiciele, władający dobrze słowem, zdolni do przedłożenia komisji naszych żądań. Nie zapomnę jednego z nich, nosjanina, który zamponował mi tymbrem głosu i niezwykłą swadą oratorską.

Już po dwóch dniach zjawili się przedstawiciele władz krasnojarskiego kraju z gen. Panlukowem na czele. Odpowiedz była jedna: "możemy rozmawiać tylko z Moskwą!"

Była piękna wiosenna pogoda, za drutami zakwitła żółtymi kwiatami tundra, nawet ptactwo harcuje, cieszyło się życiem. Kto mógł, czytał, jeżeli oczywiście zdobył się na koncentrację. Klasyki rosyjskiej było dosyć w naszej bibliotece.

Pamiętam, że przy tej okazji zetknąłem się po raz pierwszy z rutramentem poznając jego "rzeczywistość" po rosyjsku.

Piotr gryząc ołówki z zapalem rozwiązywał skomplikowane zadania z zakresu wyższej matematyki, bogactwo jakie posiadał dzięki ~~dzięki~~ dzięki bezinteresownej pracy Wasyla Bogomcłowa, prof. uniwersytetu z Alma Aty.

Czas płynął monotennie, ustąpiły presje i agitacje. Zrozumieliśmy, że nasze czekanie na rządową komisję nie jest pozbawione szans.

Wreszcie dziewiątego dnia na czystym zapolarnym niebie pokazał się srebrny nie duży samolot.

Władimir Iwanowicz Wengierow, znawca obyczajów władzy nie miał wątpliwości, że spotkanie z moskiewską komisją, jest już prawie faktem. Ale zanim wyląduje na odległym o 8 km lotnisku, zanim przyjadą samochodem, trochę wypoczną, zapoznają sytuację na miejscu - upłynie trochę czasu.

Nie zapomnę z posród wielu ciekawych historii i anegdot, jakimi darzył nas Włodek Wengierow, człowiek niezwykle inteligentny, z partyjną przeszłością, jednego zdarzenia z jego przeżyć.

Kiedys przed wojną, był Wołodia referentem ministra Kultury Tatarskiej Republiki. Szeł jego wybierał się na premierę "Otella" verdiego w Odessie. Wpierw jednak wolał wiedzieć, o co w spektaklu chodzi, więc mając tak wspaniałego znawcę sztuki, pyta: "Wołodka, a ~~eto~~ Ctełko, eto mužczyzna, ili żeńszczyna?" W tym pytaniu kryje się sam urok ministra kultury, więc komentarz zbędny.

Na następny dzień od rana w obozie ruch. Ustawiono długie stoły, przykryto je ^{czernym} ~~niebieskim~~ suknem, przyniesiono krzesła.

Niebawem przed bramą zatrzymało się kilka samochodów, z których wysiadło kilkanastu osób cywilnych i w mundurach, a więc z rządu, partii MGB i NKWD.

Nasi wylegli wszyscy na dziedziniec i rozsiedli się, jak kto mógł, na taboretach, ławkach, na ceglach, nawet na trawie. Nasza grupka, kilku rolaków, zajęła również miejsca tak, by obserwować i słyszeć przebieg "spotkania".

Ządania nasze, przedstawione przez doskonałych mówców, były sformułowane odważnie i dotyczyły:

1. Pociągnięcia do odpowiedzialności naczelnika konwoju, na którego rozkaz otwarto ogień do bezbronych ludzi, znajdujących się w obrębie obozu, zdala od ogrodzenia, nie przejawiających wobec kogokolwiek znamion agresywności.
2. Nie zrealizowania obietnic, ogłoszonych przy okazji dekretu amnestyjnego, odnośnie zrewidowania naszych akt, zawierających wiele nieprawości, tendencyjności, czy wręcz fałszowanie prawdy.

Jako jaskrawy przykład przytoczono sprawę lekarza K.K. Denzia, przeznaczonego, o łagodnym charakterze, człowieka, któremu w akcie oskarżenia przłożonym po 2 latach przebywania w więzieniu, zarzucono przygotowania do wysadzenia fabryki, której w momencie jego aresztowania nawet budować nie zaczęto.

To jeden z wielu przykładów fabrykowania oskarżenia.

3. Żąda się zdjęcia krat z okien i nie zamykania na noc baraków, jako że te dodatkowe ograniczenia, stosowane w przypadku katorżników, w naszych wyrokach nie były przewidziane.
4. Żądamy przywrócenia nie stosowania restrykcji wobec kogokolwiek indywidualnie, szczególnie wobec mówców przedkładających niniejsze postulaty, jak również wobec mieszkańców naszego obozu, zaniechania odwetu w postaci przerzucania do innych obozów, za udział w akcji protestacyjnej.

Zarówno merytorycznie, jak i pod względem emocjonalnym, były to wspańałe przemowienia, ale...

Komisja wysłuchiwała, zarządzono godzinną przerwę na naradę strony urzędowej, oczywiście, w sztabie obozu,

to przerwie obiecano spełnić wszystkie postulaty, zarządzono nawet natychmiastowe zdjęcie krat z okien, z naszymi numerami było gorzej, gdyż te były wymalowane na naszych spodniach i kurtkach olejną farbą.

Nasza strona przyrzekła w zamian natychmiastowe przystąpienie do pracy.

I tak na następny dzień rano wszystkie brygady w podniosłym nastroju przeszły przez bramę przy dźwiękach dętej orkiestry, rade ze szczęśliwego epilogu. Lecz myli się ten, kto dopuszcza myśl, że ten reżim pozwoli, by niewolnicy choć przez chwilę zatryumfowali nad władzą, chociaż w literaturze pięknej, sławi się pozytywnego bohatera "Spartaka", walczącego o wolność niewolników, ale to w innym feudalnym kraju i w odległych czasach rzymskiego cesarstwa.

Na ile mój podskórny sceptycyzm okazał się słuszny, pokażą następne losów koleje lagru nr 5, w którym rozgrywały się opisywane wydarzenia.

Życie w obozie wróciło do normy, brygady wychodziły do pracy i wracały, każdy raz dokładnie sprawdzane. I znowu zdawałoby się, że codziennie odliczane, szare, jednolite ludzkie masy, w których na chwilę błysnął duch godności człowieczej, stały się liczbą tylko: - Nie! Ta raz obudzona świadomość nie prędko zgasnie, tli się potajemnie w jakiejś niedorzecznej formie, bo przecież zaprzecze naturalnej zwierzęcej zasadzie zachowania gatunku. A więc ta pokora wobec przymusu jest tylko pozorna!

Obudziła się ludzka godność wraz z pogardą dla życia w imię wyższych, niż chęć przeżycia wartości!

Przy którymś z kolei marszu do pracy, kolumnę zatrzymano, wyczytano dwa nazwiska: "Dikarłow i Sokolnikow" i odprowadzono w niewiadomym kierunku. Dokąd? Może do sądu, może na przesłuchanie...

Można sobie wyobrazić konsternację i oburzenie po przyjsciu na miejsce pracy. więc to tak wyglądają gwarancje, przyrzeczenia!

Jak podle, chytrze zostalismy oszukani! W następnym dniu wyzwano dwu innych, aktywnych w buncie. Zaś po powrocie do obozu wyczytano kilkadziesiąt nazwisk na etap do innego łagru, może na "Kopiec"?

"Przecież obiecaliscie, że nie będzie represji i etapów do innego obozu, jak można wam wierzyć?" - takie były reakcje wzburzonego, oszukanego tłumu, domagającego się wyjaśnienia od naczelnika łagru. "Decyzja odgórna" - padała odpowiedź.

Niektórzy z nas znaleźli się na dachach baraków, by stamtąd obserwować, dokąd skierowano naszych towarzyszy. Trudno jednak było coś konkretnego dostrzec, zatrzymano ludzi w tundrze, co dalej nie wiadomo.

I znów emocje wzięły górę, a może to także świadomość doznanej obelgi. Potraktowano nas za nic, więc jakie przyrzeczenia obowiązują wobec tych, którzy są niżej?

Tak więc rozpoczęła się druga faza protestu. W podświadomości widzieliśmy najgorszy wariant scenariusza, w jakim będziemy uczestniczyć. Bo jakież znaczenie może mieć w tym kraju marny był 1600 niepokornych z 30 milionów więźniów, nikt jednak nie zdołał powstrzymać zmierzającej do dramatycznego epilogu, lawiny.

Odtąd bez przerwy nadawano przez głośniki, komunikaty, zawierające już tylko ostrzeżenia i groźby.

Pojawili się już jacyś nieznani nam oficerowie, pamiętam szczególnie jednego pułkownika, inteligentnego, elokwentnego, chyba z kontrwywiadu, który usiadłszy na stopniach murowanego magazynu w swobodnej i bezpośredniej rozmowie, przeplatanej osobistymi wojennymi wspomnieniami, usiłował między wierszami niby to-wyperswadować nam bezsens naszych działań. Dla nas było oczywiste, że celem jego było złamanie ducha oporu. Co niektórzy, nie mogąc wytrzymać psychicznej presji zgłaszali się pojedynczo na wartowni z gotowością wyjścia z tej zaklętej, bez szans, enklawy.

Karmiono nas jak dotąd, normalnie, psychologicznie było coraz ciężiej, eskalacja gróźb natężyła się, w końcu, było ~~xx~~ to 9 dnia tej drugiej fazy buntu, podano komunikat o zredukowaniu normy żywienia do normy Nr 9. Nasze natychmiastowe skojarzenie: 9 gr. ołowiu!

Równocześnie pojawił się w obozie naczelnik sanitarny z uzupełnieniem leków a przede wszystkim środków opatrunkowych.

Była to połowa czerwca, słońce nie zachodziło, zaczęły się już białe, polarne noce.

Nasze zmęczenie psychiczne osiągnęło apogeum. Stalismy się wręcz obojętni na to co się miało wydarzyć. W końcu zmęczeni chodzeniem, czekaniem, siedzeniem, położyliśmy się w ubraniach na swych pryczach i kto mógł, zasnął.

Nie na długo, bo około godz. 1-ej obudziły nas krzyki: alarm! wstawać, żołnierze wdarli się do obozu.

Wypadliśmy na dziedziniec i widzimy stojących w szeregu z automatami gotowymi do strzału żołnierzy. Jak widac po przecięciu w połacie obozu po przeciwległych jego stronach, drutów weszli z dwu stron. Stali naprzeciw nas groźni, zdecydowani by spełnić swój "patriotyczny obowiązek wobec wrogów ustroju".

my w zbitej masie, śląc im "najgorętsze życzenia i epitety w rodzaju "faszyści" czy, mordercy - strzelajcie!"

Litwin Jurgis osiłek "psychiczny" wypuszczony z izolatki, stojący najbliżej żołnierzy chwycił 1 -kilowy odważnik, zamachnął się: Podniesiona ręka dowódcy plutonu opadła!

Z kilkunastu automatów posypały się strzały! Kto na czas nie zdążył upaść, padł ugodzony pociskiem, a seria tych kilkunastu automatów wciąż trwa, jak gdyby wieczność.

Leżąc, słyszę jęki z lewej, rżenie z prawej, ktoś z tyłu poprzez ból wydusza z siebie: mordercy, krwiopijcy, faszyści. Już tylko same jęki, jęki. Chcę podnieść blagającego o pomoc rannego, by go zanieść do punktu sanitarnego. Pomóc mi chce Kirgiz, lecz żołnierz też skosnooki, rozkazuje zostawić rannego i nie podnosić się! Nie wiem jak długo leżaliśmy, pół godziny, może godzinę. Wreszcie pada rozkaz: podnieść się!

ustawiamy się przed leżącymi zabitymi i rannymi w kolumnę i wychodzimy przez wyrwę w drutach popędzani i popychani przez strażników z psami. Dokąd? Nie wiemy...

Szlismy tak długo przez tundrę, krzaki i bagna, wspinalismy się pod górki i zjeżdżali po ich zboczach, aż po jakichs dwu, trzech godzinach zatrzymano nas przed stołami, z leżącymi na nich aktami.

Za stołami wejście do lagru, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Po prawej stronie w dole za drzewami kosodrzewiny skrzyło się jezioro.

W międzyczasie odnaleźliśmy się z Piotrkim, trzymaliśmy się odział razem.

Oficerowie odczytują nazwiska, przy stołach są też nasi-"zaufani", to ci, co nie wytrzymali nerwowo i uciekli przed pogromem, służąc teraz swą komentarzem przy każdym z wywołanych.

Wyrokiem komisji kierowano nas bądź to do obozu, gdzie dostrzegliśmy z daleka, jego mieszkańcy kryminalisci przyjmowali nowych

"zbuntowanych" współlokatorów w swejście rozumiany "gospodni" sposób, dając im na przywitanie "manto", zaś niepokornych, czy podejrzanych, w tej liczbie znaleźliśmy się obaj z Piotrem, odesłano nad jezioro.

Nie wiem, jak to będzie na Sądzie Ostatecznym, czy Pan Bóg też będzie korzystał z opinii faryzeuszy!:

Siedzieliśmy tak z wypiekami i gorączką niepewności, głodu nawet nie czując, w oczekiwaniu na naszą niewiadomą.

Nie wolno było podnieść się, by choć dostrzec, kto jeszcze z naszych znalazł się w tej grupie. Rozmawialiśmy półgłosem, radzi z szansy, jaką dał nam los, pozostawiając wśród żywych. Jak na razie. Trudno było, choć w przybliżeniu określić, ilu z tych półtora tysiąca pozostało przy życiu, a ilu miało iec, zakładając, że 14 - 15 automatów tylko w ciągu 20 sekund pluło gradem pocisków, stu czy dwustu, to już pozostanie tajemnicą katów.

Po kilku godzinach jeżenia uformowano nas w kolumny i poprowadzono. Było południe, gdy przechodziliśmy ulicami Norylska.

Mieszkańcy zatrzymywali się kwitując na ogół obojętnym spojrzeniem, raz tylko usłyszeliśmy z czyichś ust: "faszysci, buntownicy". Jaka opinia mógł wydać tylko ktos z rodzin naszych "opiekunów".

Dotarliśmy do stacji kolejowej wąskotorówki, gdzie załadowano nas w wagony wąskotorowej kolejki po 40 osób. Ciśnота, gorąco i duchota przypominały mi o mojej klaustrofobii. Bałem się czy przetrwam, zacząłem już nawet odczuwać sensacje, na szczęście jednak po godzinie jazdy przybyliśmy na miejsce, które jak się okazało, było obozem, opuszczonym przez kryminalistów i tu mieliśmy czekać na dalsze, odnośnie naszego losu, decyzje.

W kuchni otrzymaliśmy nawet gorącą zupę i chleb, przy okazji poznaliśmy Polkę, przebywającą tam na zsyłce, która podtrzymywała nas do końca naszego tam pobytu na duchu, przynosząc zasłyszane wiadomości, między innymi o tarcjach "na górze" i walce o władzę na Kremlu. Od niej też dowiedzieliśmy się, że prawie równocześnie z nami, również w lagrze Nr 4 na "Miedzonym", a następnie w Katorżników, wybuchł bunt, podobnie krwawo stłumiony.

Także w odległej Karagandzie i Warkucie obudził się człowiek z numerem na kufajce, na pewno i w innych jeszcze, rozrzuconych po tym ogromnym Kraju systemach, ale myśmy wtedy o tym jeszcze nie wiedzieli, że Śmiercią tyrańca niósł wiosenny powiew nadzieję wolności od Moskwy po Władywostok.

Pod nasz obóz podjeżdżał codziennie autobus, by zabrać kogos na przesłuchanie.

Mijały dni w beczynnym oczekiwaniu, spacerach, rozmowach,

słuchaniu radia z głosników, a więc muzyki, ludowych piosenki, raportów o wykonanych planach, skąpych komunikatów.

Nasze pani z kuchni przyniosła wiadomości o przejęciu władzy przez Berię. Nie wróżyło nam to nic radosnego, wiedzieliśmy bowiem kto to Beria. Podoficer, dowódca warty, zapytany przez kogoś z nas, jak długo będziemy trzymać w tym obozie, skwitował z uśmiechem: "a czegoż wy oczekujecie! nie łudźcie się, nic dobrego was nie czeka!" Znamienny ruch ręki w poprzek szyi uzupełnił resztę.

Odeszliśmy w milczeniu, nie komentując między sobą tej wypowiedzi, ani nie powracając do niej w rozmowach późnej...

Aż tu nagle bomba! Podają oficjalny komunikat o aresztowaniu i osądzenie Berii. O jego dążeniu do ppanowania najwyższej władzy o, destruktywnym wpływie na życie w kraju, szczególnie na gospodarkę, wywoływanie nastrojów niezadowolenia, prowokacje itp.

To nam wystarczyło, by ożyła nadzieja wyjścia z niebezpiecznego impasu. Przypisali mi więc inspirowanie buntów w lagrach. A więc narada w Nowosybirsku, poprzedzająca wydarzenia w obozach służyła temu celowi, miała ją sprowokować.

A zresztą, jakby tam nie rozegrano tej partii szachowej na najwyższym szczeblu, ważne, że jesteśmy uratowani!

Skończyły się przesłuchania. Zjawił się nowym oficer, naczelnik lagru przy odkrywkowej kopalni węgla, dokąd po odpowiednich przygotowaniach organizacyjnych wyruszyliśmy nazajutrz, by w kopalni dosłużyć się końca naszych wyroków.

Kopalnia poza tym dawała szanse uniknięcia wreszcie odmrożeń policzków i nosa nie mówiąc o nieludzkim wycieńczeniu, jako efekcie pracy na mrozie, na wolnym powietrzu.

Czy cieszyliśmy się tym nieoczekiwanym obrotem sprawy? Niewątpliwie ale nie tak jakby należało, biorąc pod uwagę fakt, że uniknęliśmy najgorszego, czego w konsekwencji buntu mogliśmy w tym kraju oczekiwać. Podoficer, dowódca warty dobrze wiedział, jak w tym ustroju karze się niepokornych, a tym bardziej więźniów.

Zachowaliśmy życie, ale resztki szoku nie prędko miną, ślady przeżytych, pełnych napięć zdarzeń pozostaną na długie lata. Ktoś powiedział słusznie, że "wilcza tęsknota sciganego" pozostanie na długo w naszych oczach, zaś do końca życia będzie nas w nocy przesładował koszmar przeżyć w tym jak mówią słowa piosenki, najszybszym z krajów.

Post scriptum

Pragnę przybliżyć czytelnikowi kilka uczestników z tej poniżej przeszłości, których osobowości i życiorysy warte są poznania.

Piotr Karpowicz - akowiec, rodem z Wilna, którego imię przewija się w moich wspomnieniach często, po powrocie do kraju zdał maturę, oraz ukończył Politechnikę Gdanską.

Zaowocowały więc formuły i wzory matematyczne wyprowadzane na papierze z worków po cementie pod okiem naszego towarzysza niedoli profesora ~~Uniwersytetu~~ ^{-Aly-} ~~Wasyła Bogomołowa~~.

Po zakończeniu studiów pracował Piotr w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie zdobywając tytuł Doktora Inżyniera Elektronika, legitymując się dziś około 50-ma pracami naukowymi.

Spotykając się w jego letnim domku nad jeziorem w Wierzbowie, wracamy pamięcią do tych dawno minionych wspólnych przeżyć i śpiewamy /co Piotr bardzo lubi/ nasze legionowe pieśni, oraz jedną starą rosyjską - o ucieczce z łagru ~~Katorżnika~~, ~~Stawneje more~~, ~~Świaszczennyj Bajkał~~. - Czy coś się więc w historii tego kraju zmieniło?...

Władysław Piotrowski - leningradczyk, Polak.

Jako inżynier pracował w Zakładach Lotniczych, na początku wojny podzielili los wielu Polaków, tam zamieszkałych. Przebywał z nami w Norylsku. Rysze i mówi piękną polszczyzną, wyniesioną z rodzinnego domu, a nadewszystko ukształtowaną dziełami naszych Wieszczów /gorzej z akcentem, lecz to zrozumiałe!/
 Odwiedzał nas w Polsce często, szczyci się przynależnością do narodu, który zrodził "Solidarność".

Nataszę, obecną żonę poznał w Norylsku, na krótko przed zwolnieniem. Wiedząc, że Natasa - komsomolka, często indagowana przez swoją władzę o "kontakt z więźniami", rzuciła za którymś razem legitymację na stół, oświadczając, iż nie wiezi powodu, dla którego miałaby zmienić swój stosunek do człowieka, którego kocha! Niebawem po wyjściu Władka na wolność pobrali się i jeszcze w Norylsku urodziła mu syna.

Nie wolno mi pominąć wyjątkowej osobowości, która również dzieliła nasz los więźniów "Państwowych Lagrów - Szczególnego Reżimu /"Gorlag" - w skrócie/ w Norylsku.

Ks.Dr. Władysław /Walter/ Ciszek - Polak, misjonarz urodz. w Pensylwanji /USA/, który w 1940 r. podjął się dobrowolnie działalności misyjnej wśród obywateli Zw. Radzieckiego.

Przekroczywszy nielegalnie granicę, zatrudnił się jako kierowca, by być bliżej ludzkiej niedoli.

Zadenuncjowany, schwytany i oskarżony o szpiegostwo, przesiedział /częście chyba przeleżał/ parę lat na łubiance, poczym, zesłany do łagrów norylskich z adnotacją : "tylko do najcięższych prac", przerzucany z miejsca na miejsce, niedożywiany, często z odmrożonymi policzkami, nigdy nie tracił pogody ducha i wiary w przetrwanie, której nie brakło mu dla podtrzymania innych. W bezpiecznym pomieszczeniu, z zachowaniem ogromnej ostrożności, spotykał się w małych grupkach nie-tylko Polaków, potrzebujących Św. Sakramentów, błogosławił nasz czarny chleb, najlepszy z chlebów, w potrzebie spowiadał nawet pod narami. Wiedział czym grozi ujawnienie jego działalności.

Pamiętam jego duże, jasne, pogodne oczy, które zdawały się sztydzieć z ziemskich doświadczeń i goryczy, pomagając tylko o konieczności zachowania siebie, by służyć innym.

Przetrwał 19 lat w więzieniach i łagrach 4 lata na zsyłce, wysiedlony za radzieckiego szpiega z USA, po 23 latach wraca do Pensylwanji. Tam po jego śmierci w 1984 roku, dzięki staraniom niezmordowanej Matki Marii z klasztoru SS Karmelitanek w Sugarloaf rozpoczęto niezbędne działania do procesu beatyfikacyjnego.

W odróżnieniu od ks. Kolbego ks. Ciszek musiał żyć, by ratować innych.